



## PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

### Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

### Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5. rocznie rsr. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG.**

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY  
Ulica Nowy-Świat Nr. 1250 (nowy 55).

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.  
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent 50.  
W W. Ks. Poznańskim: u Leitgera i Spół., kwartal. tal. pr. 1 sgr. 20.

### LUNA NA WIDNOKRĘGU

(przekład z Viktora Hugo).

Błysnęła jasna smuga na wód ciemnych fali,  
Latarnia morska gaśnie, powiadając:—Świta!  
Dumam, ciekaw tajemnic; myśl moja się pyta:  
Czy taka luna brzasku w grobowcach się pali?  
Co to za jasność, która za granicą życia,  
W głębiach nieskończoności dostrzegana, świeci?  
Czy dusza, przez głos Boga tam wzywana, leci,  
Rzuciwszy ciała swego drętwe już spowicia?  
Czy obleczemy postać nieujęta cienia?  
Czy będzie można z grobu wywołać nas ciszy?  
Czy staniam się głosami, których dźwięk się słyszy  
Z pod mogilnego kamienia.

Czy człowiek jak jaskółka, jak szare ptaszyny,  
Zerwie się do odlotu i skrzydeł dostanie,  
Pójdzie szukać jaśniejszej, cieplejszej krainy,  
Śmierć mu będzie, jak dla nich, morza przebywanie?  
Ale wszystko się w koło rozbudza i wzrusza,  
Błękitny, chłodny ranek przez chrusty prześwieca,  
Wół swoje jarzmo, boleść swoją bierze dusza,  
Gwiazd się zamyka, kwiatów otwiera żrenica,  
Miłość i sława! życia skarby i zdobycze,—  
Warteż chmurki, płynącej przez błękitów szlaki?  
Czego odemnie chcecie głosy tajemnicze,  
Na czarnych gałęziach ptaki?

Czemu gwałtem myśl moja w głąb' snów takich leci?  
Tam rolnik łono ziemi plugiem swoim orze,  
Rybak wyciąga na brzeg swój niewód—ja, Boże!  
Kraję skiby ciemności, w nicosć rzucam sieci.  
Kończem w Twe niebiosy głosy ciekawemi:  
Czy przecież coś przyniosła ta wiedzy tęsknica?  
Cóż jest gruntować bezdnią? Niechaj tajemnica  
Cicho obok człowieka przebywa na ziemi,  
Kiedy żeglarz, igraszka losów i pogody,  
Świstając, łódź swą spycha na płynne otchłanie,  
Słyszysz huk Oceanu, Oceanu wody  
Słyszysz człowieka świstanie....

### OSTATNI LIST

1

A. Ch....

(Dalszy ciąg).

Czterysta lat — nie bagatela! Jeszcze się stary zaziębi. Ale, co prawda, z taką czupryną ciepło mu wiecznie będzie! Zygmunt niby lepiej urządził się, choć żelazo niebardzo grzeje. A jeżeli sąsiad przybędzie, radzę mu baranią czapkę włożyć, albo przynajmniej hełm, jak Sobieski — w Warszawie zimno! Zostałbym chętnie astronomem, to zabawniej niż być astronomem: Keplerem nie gardził, więc i ja, chociaż wyższy od niego, zacznę przepowiadać. Widzę już, że człowiek niepospolity. Całe życie swoje przeszłe przepowiedziałem, i nie omyliłem się: tak było, jak-em powiedział! Ciężko żyć na świecie! Jednego

tylko mam przyjaciela: szczura co-to przybył z Ispahanu. On mnie powiedział, że gwiazda moja znajduje się w konstellacji „Krzyża południowego“; a ponieważ ani w Czechach, ani w Polsce, nawet w Karpatów, nie widać tej gwiazdy: muszę na południe pojechać do... Włoch lub do Afryki; tylko Grzegorz mówi, że lepiej zostać w Warszawie... Jak sobie z nim poradzić?

Każdy ma swoją gwiazdę... Więc, żeby nie ja, mojej gwiazdy-by nie było; ztąd konstellacja „Krzyża południowego“ byłaby niezupełną: mnie więc winni ludzie, że tak nie jest. To ważna rzecz! — Kwestye społeczne zajmują mnie bardzo: to przyspieszy mój wyjazd na południe. Koniecznie pojedę do Afryki, i gdy zobaczę gwiazdę swoją, wezmę z niej wiele brylantów — tyle, że całemu światu będzie — aż po uszy! Rozwiąże to raz nazawsze kwestyą chleba i Saint-Simon książek socjalistycznych więcej nie napisze! — Lada dzień już wybuchnie między Anglikami a Chinami. Jeśli ja nie będę kupował opium, Chińczycy także nie zechcą kupować, więc Anglicy zaczną potajemnie przemycać, no, i pobiją się! Ale nie nadługo: pogodzi ich królowa Madagaskaru. A sama nie chce być w takim położeniu, w jakim są Anglicy w Europie; chce, żebym jej pomógł zasypać cieśninę Mozambicką, bo jakoby ztamtąd najbliższej do „Krzyża południowego“. Nieprawda! W Ameryce w Kordelierach, jest góra „Krzyża białego“ — ot, ztąd najbliższej! Ale jeżeli nie wyższa od wież kościoła „Świętego Krzyża?“ Mniejsza o to: z piramidy Cheopsa i lepiej i bliżej. — Ale nieprawda, co pisał niedawno w „Kuryerze“, że ja mam budować kolej żelazną z Londynu do New-Yorku; wprawdzie prosił mnie oto prezydent — ale ja nie myślę. Produkcya kalifornijska podkopie politykę Bismarcka i piekarze z sandomierki ciasto z zakalcem wypiekać będą... Lepiej kanał przeprowadzę od Gdańska do Sztokholmu; szkoda tylko, że Dardanelle nie wolne dla handlu morskiego: Tur-

cy, biorą opłatę od karawan, przychodzących z Pińska! Ehe! Żeby to Wisła płynęła przez całą Europę, utworzyłbym drogę handlową na wszystkie strony świata: od „Nowego Świata“, do „Elektoralnej“, na której mieszkam, aż do... Króla Saskiego! Zczasem zrobię to jeszcze, ale zato każdy będzie musiał grać na skrzypcach, czy chce, czy nie chce! Tylko to niedobrze, że uszy następnych pokoleń będą zbyt długie i wielkie — wskutek muzykalności. Mówiłem o tem Grzegorzowi — a ten głupiec mówi, że będą podobni do dardańskich jakichś gości; ale Grzegorz nie polityk: tabakę zażywa i kontent. Otoż na złość kolei żelaznej do Ameryki nie przeprowadzę, bo staniałaby tabaka: — nawieźliby jej z Wirginii i Kuby, Grzegorz-by więcej zajał, nos jego coraz bardziej rósł, i stałby się większym niż uszy naszych potomków — a to sprzeciwia się estetyce, na którą bardzo jestem drażliwy. — Niech więc lepiej grają, niech śpiewają, niech nuca! — Niech liry, cytry, lutnie, teorbany, fortepiany, bassetle, organy, bębny, dzwony, flety, — a nakoniec skrzypce, głosza światu harmonią! Ludzie spokojnymi się staną, nie będą się bili, a śpiewać i grać będą! Mnie królem obiorą, a ja... ja będę także grał i śpiewał: „Odziany w blask...”

Ach, teraz, teraz pamiętam: w życiu swem miałem jedno marzenie, jedno zadanie, którego ani rusz rozwiązać nie mogłem! Dziadek jakiś przepowiedział, że ja zjednoczę w dziedzinie melodyi wszystkie ludy pieśnią jedną, nieśmiertelną, i... i... — lecz spać mi się chce dzisiaj — jutro zobaczymy!

Jednakże trzeba telegrafować do Częstochowy, że tylko zapomocą wolnego mego wyboru na króla tonów — bez administracyjnej pressy, dojdą do rozwiązania zagadki mego życia; bo gdy zostanę królem naszej głupiej (za przeproszeniem) planety, każę wszystkim grać — ot i będzie harmonia... stosunkowa. Dziadek był niegłupi, kiedy przepowiadał takie rzeczy, które się spełnią na Zadzuski — wcale nie głupi! A jak fabryki instrumentów pójdą w górę! Ile smyczków będzie na świecie! Lękam się, czy tylko książę księżycowy pozwoli na to — on lubi ciszę, bo bardzo nie muzykalny! E, za dobrą opłatą, nauczę ja i jego grać! Zaczę wino pić, opium palić i będę — szczęśliwy! Lepiej się nieraz uśmieję niż Żółkowski — na scenie. I któżby nie lubił „wina, pieśni i — kobiet?“ Jakis żydek z Proszowic dawno to powiedział! — La, la, la, la... la, la, la... — cha! cha! — śpiewam dobrze! Oho! Cóżto za poseł z licznym orszakim? I, nie meldując się, wchodzi? Czyż-by to „Selenici“ byli? — No! wszystko jedno. Po staropolsku podejmiemy.

Zmieniłem mieszkanie — namówili mnie. Na Elektoralnej rzeczywiście mało powietrza było, tutaj więcej; dom jednak ponury... Nie chciałem wejść; lecz ujrzałem na krzyżu, wśród topoli latarnię — powiedzieli mi, że to odbicie gwiazdy mojej z „Krzyża południowego“. Niezupełnie ja w to wierzę, ale zawsze lepiej spoglądać na drzewa i pole, niż na dachy i kominy. Grzegorza mi nie dali; niedobrze też, że jeden tylko pokój mam, okna zakratowane i nawet do połowy deskami zabite. Jednak widzę wał podmiejski i topole piramidalne, zupełnie, jak w Zahorowie... Dziwna rzecz! Mandaryni na jawie się zjawiają teraz i męczą — nadobrze! O, straszne cierpię katusze! Ale się bronię... Dosyć tego! Od dzisiejszego dnia... zginie ten, kto pierwszy przystąpi — nie ujrzy nigdy zielonych brzegów Jang-tse-Kiangu, chyba we śnie, jak ja widzę Wisłę i Zahorów... Czy mi się śniło, czym słyszał to na jawie — nie wiem! ale mówili mi, że ten, któremu ojcem nazywał — ojcem moim nie był. Straszna rzecz! A więc dlatego nie spełnił swego zadania — bo nie mnie przepowiedziane było? legenda się na mnie spełnić nie mogła? Nie, to nieprawda! Nie wolno bluźnić umarłym! A jeśli to prawda? Ciemność wkoło mnie. Światła, światła mi dajcie, prawdy dajcie, bo nie wiem, w co wierzyć, a w co nie... wierzyć? Coś się ze mną dzieje niezwykłego — za nic nie mogę sobie przypomnieć: czy to Roman zabił mnie, a potem utopił się, czy ja go u-

piłem a potem zabiłem jak Eugenię? — A czy syna mam? Zdaje się, że — mam! Aha! nie będą mnie dręczyli więcej: „Synu, broń ojca!“ — Ojca?! — Nie! nie mam syna, tej jedynej pociechy... Do nikogo nie mogę powiedzieć: — „Dzieci moje!“ — Ród się na mnie kończy... Dziadek czeski prawil, że ja coś stworzę... Co też mi się zdaje? Pewnie zanadto wypilem węgierskiego, bo coś butelki przedemną tańczą... Nie! ja żyłem inaczej — pierwej, ale to dawno — coś czułem, czegoś potrzebowałem. Ach, prawda! Kochałem kogoś bardzo... ale kogo? — Eugenię, moją żonę! Smutno mi — kogoś zabiłem... Ja zabójca? — Prawda! Romana zabiłem, a matka weszła do klasztoru, siostra umarła... Nie! Marya — zakonnicą, a matka — w grobie! — Przypominam sobie, przypominam... Coś lubiłem... — śpiewać! A jeszcze? pisać dyabelki — pisać znaki jakies — nuty! — Prawda, grałem na skrzypcach! ale teraz nie mam skrzypiec... Boże! Znikli mandaryni i koty zębów nie wyszczerzają, szczura nie widzę; Roman się nie ukazuje; Eugenii też niema; w umyśle moim zupełnie jasno; spokój dziwny opanowuje mnie — to zwiastowanie... zgonu. Chodź utęskniony! do łona cię przytulę, jak niegdys — Eugenię. Ty mię z nią połączysz... Ach, pragnąłbym tak umrzeć, jak ona: w powodzi dźwięków! Dziwnie mi błogo... Coraz jaśniej w duszy; z przed oczu znika mgła; w uszach szumu nie słyszę... Czuję, widzę, pamiętam — rozumiem! Jam — Konrad! Jam muzyk-poeta, skrzypek natchniony! Poznaję siebie... Przypominam sobie „Jana Sobieskiego“, koncert... Ach, zagrałbym teraz! Ale skrzypiec nie mam... Poproszę: „Ej! czarci synowie, dajcie mi skrzypce! Jam już nie ten — przeistoczyłem się, pychę zrzuciłem z serca, już nie gniewam się, lubię was, Kocham — i bardzo! ale dajcie mi skrzypce! Jeżeli nie dacie, okno wybije, drzwi wywałę, choć okute żelazem, ściany w proch rozsypię. Ale ja — nie gniewam się; ja... płaczę!...”

Są ludzie, którzy się jednym nie zadawalniają; którym wciąż trzeba czegoś nowego, nowych tryumfów; którzy szczęścia nieziemskiego pragną na ziemi: dlatego też konają nienasyceń. A ja — jednej, jedynej rzeczy pragnęłam w ciągu życia całego — i ona się nie spełniła! Innych zawody spotkały, bo dążenia swoje rozproszyli na wsze strony; ja w jedną stronę dążyłem — i napróżno! Inni pragną bogactw, ten i ów chce blasku, wielkości, chwały; ja bym wszystko oddał za jedną pieśń — lecz... nieśmiertelną! Los nielitościwy, co szydzi z daremnych usiłowań, nietylko nie dał mi tego, do czego dążył, lecz odjął jeszcze to, co mi zawód osłodzić miało — Eugenię! a nawet nie pozostawił jedynej... zemsty, co jeżeli nie goi rany, przynajmniej pociechę niejaką dać zółci może, prawa mi nie dał — narzekać na niesprawiedliwość przeznaczenia...

(Dokończenie nastąpi).

## Korrespondencya zagraniczna.

Lwów we Wrześniu 1881 r.

Nowy gmach sejmowy. — Tepy akwarella do pamiątkowego albumu arcyksięcia Rudolfa. — Wystawa sztuk pięknych. — Obrazy przeznaczone do wylosowania. — Nagrobek Dra Bajzera. — Przemowa rabina Lewensztajna. — Kantor Darewski. — Sprawa żydowska. — G. Kohn i jego wydawnictwa. — Wędrowki Ahaswera, przekład poematu Zedlitza. — Wystawa ogrodnictwa i pszczelnictwa. — Koncerty księżny Marcelliny Czartoryskiej. — Odczyty podróżnika Żaby. — Teatr.

Dnia 14 Września r. b. autonomia galicyjska obchodziła dzień uroczysty. W dniu tym sejmy zgromadziły się poraz pierwszy w nowo-wystawionym dla siebie gmachu i do niego też przeniosły siedzibą swą władze autonomiczne. Na kilka dni przedtem odbyło się poświęcenie budynku, bez żadnej, jak to bywa w podobnych razach, szumnej parady; a to wskutek rozporządzenia nowego naszego marszałka, dążącego do ograniczenia ile

możności wszelkich zbytecznych wydatków w budżecie krajowym. Przez zaniechanie projektowanych przy poświęceniu budynku rozmaitych dekoracyj dla uświetnienia obrzędu, oszczędzono przynajmniej tysiąc guldenów; co prawdziwie godne jest uznania w czasach dosyć krytycznych, gdy każdy grosz zaoszczędzony i użyty na cele ekonomiczny plon przynoszące podwójną wartość.

Nowy gmach sejmowy, jakkolwiek da mu się niejedno zarzucić, tak pod względem estetycznym, jak i pod względem rozkładu wewnętrznego, przedstawia się okazale i jest niezaprzeczenie najwspanialszym we Lwowie budynkiem obok Politechniki i Domu Inwalidów, z którymi współzawodniczy. W smaku renesansowym nowszych czasów, graniczącym ze stylem barokowym, obejmuje on kompilacją wszystkich stylów greckich zmieszanych z sobą. Naróżniki frontowe, przykryte kopułami, podtrzymują lwy z tarczami, o których jakiś poczciwy chłopiec, przypatrujący się bardzo ciekawie gmachowi, powiedział że:

— Wszystko piękne — tylko ci panowie, co siedzą pod dachem z rozczochranymi włosami jakoś niepięknie wyglądają.

Poczciwiec, w naiwności swojej wziął zwierzęta za ludzi i chciał ich mieć uczesanych i ubranych odświętnie. Grupa symboliczna na frontonie, przedstawiająca geniusz kraju, roztaczający opiekę nad dwiema, u stóp jego, po obu stronach, rzekami, Wisłą i Dniestrem, uosobionemi w postaci mężczyzny i kobiety, wygląda dobrze, chociaż symbolika w niej zawarta, nie ze wszystkim na pierwszy rzut oka zrozumiała, mogłaby niejednego nieobeznanego z temi rzeczami w błąd wprowadzić, podobnie jak lwy omyliły kmiotka, po raz pierwszy puszczonego się na pole krytyki architektonicznej.

Powierzchność całej budowli traci na tem, że przyczółki nie odpowiadają architekturze frontu i są bez żadnych ozdób. Budowniczy liczył tutaj na to, iż na placach przybocznych staną z czasem inne zabudowania, zastosowane do charakteru gmachu sejmowego, i utworzą z nim niejako całość architektoniczną, zasłoniwszy jego boki, pozbawione wszelkiego stylu. Jeżeli z czasem rzeczywiście dojdzie do tego, widok gmachu sejmowego wiele na tem zyska. Dzisiaj najpiękniejszą ozdobą jego otoczenia jest położenie obok ogrodu miejskiego, z rozległym, amfiteatralnie podnoszącym się krajobrazem, na którego szczycie wznosi się wspaniale cerkiew ś. Jerzego. Tuż u stóp gmachu rozległe trawniki, kwiatowe kobierce i starych drzew cieniste klomby, w których artystycznym bezładzie gubi się oko, czynią jak najlepsze wrażenie; jakoż ogród miejski, obok wspaniałego Wysokiego Zamku, jest w swoim kształcie dzisiejszym najpiękniejszą przechadzką Lwowa.

Rzućmy jeszcze okiem do wnętrza gmachu sejmowego. Zasluguje na uwagę klatka schodowa, prowadząca na pierwsze piętro do sali sejmowej, ozdobiona artystycznie wykonanemi historycznemi posągami, pomniejszych rzeźbami i sztukateriami. Sala sejmowa ma kształt kolisty i jest stosunkowo dosyć szczupła. Ławy poselskie, urządzone amfiteatralnie, wznoszą się w półkole przed górującem ponad niemi krzesłem marszałkowskiem. Nawprost prezydium znajdują się galerie dla publiczności i loża dziennikarska. Łoże przeznaczone dla namiestnika, marszałka, posłów i rady miejskiej, zapełnione zazwyczaj pięcią piękną, są umieszczone w czterech rogach sali i zaledwie po kilka osób pomieścić mogą. Wogóle uskarżają się na szczupłość miejsca i złe urządzenie artystyczne. Głos tak dalece gubi się po galeriach, iż w ławach poselskich nie podobna słyszeć dokładnie, ani głosu z trybuny, ani mówców w przeciwnej kończyźnie sali, z własnego miejsca głos zabierających. Ztąd poszło, że posłowie zmuszeni są podczas mów dłuższych i ważniejszych wychodzić z ław, otaczać mównicę i grupować się koło mówiącego. Stenografów umieszczono też bardzo niewygodnie, jakby w podziemnym rowku, otaczającym mównicę, z którego zaledwie głowy im widać było, bez względu na to, że z natury rzeczy im niżej, tem gorzej słyszeć, bo głos dąży w górę. Niedogodność ta da się uczuć

w pierwszych zaraz dniach narad siedzenia stenografów podwyższono i urządzono stosownie; ale błędy akustyczne całej sali nie tak łatwo usunąć się dadzą.

Nieodżałowana to szkoda, iż przy układaniu planu sali sejmowej nie obmyślano miejsca na umieszczenie w niej zakupionego przez kraj obrazu Matejki *Unia lubelska*. Zawieszony on będzie w sali zwanej „Marszałkowską“, w której gromadzone być mają podobizny marszałków krajowych. Właściwe miejsce dla obrazu Matejki byłoby w sali sejmowej, i rzecz dziwna, że zakupiwszy obraz z tak wielkiem znaczeniem artystycznym i z tak ważną historyczną treścią, nie pomyślano o tem. Fryz sali sejmowej ozdobią malowidła Rodakowskiego, treści allegorycznej, zastosowanej do przeznaczenia sali; będą one wymalowane na płótnie, w sposobie nasladującym freski. Szkice kartonowe tych kompozycji są już gotowe, ale wykonanie ich parę lat zająć będzie musiało; kartony można już dziś oglądać w pracowni artysty.

Mimowolnie przeszliśmy na pole sztuki, zawsze bardzo wdzięczne. Pozostańmyż więc na niem; tembardziej, że, nim opuścimy gmach sejmowy, nasuwa nam się sposobność obejrzenia akwarelli Tepy, przeznaczonej do albumu ofiarowanego w darze arcyksięciu Rudolofowi, a zawierającego sceny z zeszłorocznego pobytu cesarza w Galicyi. Tępa spóźnił się ze swoim obrazem, albowiem przedmiot, który sobie obrał: *Przedstawienie się cesarzowi we Lwowie deputacyj Rad Powiatowych całego kraju*, wymagał sam przez się do ukończenia więcej pracy i czasu niż inne. Za to miał on sposobność malarz zgromadzić na jednym kartonie wybitne typy z całej prowincyi, z całego społeczeństwa naszego, gdyż delegacye Rad Powiatowych składały się ze wszystkich stanów. Od różnobarwnych, bogatych kontuszów, litych pasów i piór czaplich, odbijają czarne sutany księży, odświętne siermięgi włościańskie i racimory żydowskie. Wszystkie główne osoby są portretowane z natury, a postaci i fiziognomie wybitniejszego charakteru ugrupował malarz tak umiejętnie, aby tworzyły wymowną, pełną artystycznie zestawionych kontrastów, a przecież harmonijną i wyrazistą, całość. Oddanie każdej postaci prawie miniaturowe, a gdy jest ich wszystkich około stu na obrazie, nie dziw, że wykończenie jego wymagało parę miesięcy więcej czasu niż innych. Pod względem doskonałości rysunku i delikatności pędzla akwarella Tepy prześciga wszystkie inne kartony albumu pamiątkowego.

Z gmachu sejmowego mamy już tylko połowę drogi na Nowy-Swiat, na wystawę sztuk. Zwiedzaliśmy ją już wprawdzie niebawem po jej otwarciu; ale teraz przybyło na nią kilka nowych rzeczy, które obejrzeć koniecznie potrzeba, a trud dalekiej przechadzki opłaci się sownie odniesionymi z niej wrażeniami. Najpierw tedy zwraca na naszą uwagę piękna kompozycya Rossowskiego *Skazana*, wystawiona przed spełnieniem wyroku pod pręgierzem na widok publiczny, na Małym Rynku w Krakowie—obraz znany i z wystawienia przez długi czas w Warszawie i z *Przeglądu artystycznego w Bluszczu*.

Parę portretów i typów olejnych Axentowicza nowoprzybyłych należy do piękniejszych w naszym Salonie. Odnacza się tu zwłaszcza *Kowal* naturalnej wielkości, o silnie scharakteryzowanej fiziognomii, z czarną brodą, postać uderzająca znakomicie pochyconym wyrazem. Wydatna muskulatura świadczy o dobrych studiach anatomicznych. Axentowicz, młody jeszcze artysta, rodem Lwowianin, poraz pierwszy z czemś znakomitszym występuje na widok publiczny. *Kowal* zapowiada pomyslną przyszłość artyście, który w tak młodym wieku zaszedł już tak daleko i tak sumiennie zawód swój pojmuje. Dyrekcyja Towarzystwa sztuk pięknych zakupiła *Kowala* do wykładowania dla akcyonaryuszów, a Axentowicz, zyskawszy tym sposobem zasilek na drogę, wyjechał dla dalszego kształcenia się do Monachium.

Przybyło jeszcze na wystawę parę portretów Andrzeja Grabowskiego. Są one jej prawdziwą ozdobą. Z każdego technie życie wyrazem właściwym portretowanej osobie. W tym względzie Grabowski jest doskonałym znawcą i portrecistą, jakich niewiele znajdziemy pomiędzy rzeszą ma-

larzy społecznych. Umiejętnem i bardzo starannem a oryginalnem farb mieszanem nadaje on portretom swym koloryt odpowiedni zasadniczej typowej myśli, występującej w każdym z nich. Grabowski stara się podnieść każdy portret do typowego znaczenia. Taką jest ostatnia jego *Podobizna Kazimierza hr. Krasickiego*, prezesa tutejszego Towarzystwa Ziemińskiego. Dzielnym starzec, pełen jeszcze energii, tej, że tak powiem, staropolskiej zamasztyści, w kontuszu, litym pasie i przy karabeli, jest w całej swej postawie typem społeczeństwa minionego. Przypominającego się nam w niewielu już pozostałych postaciach, które wkrótce usuną się z pomiędzy nas, ustępując miejsca nowym. Tem większą zasługę położył malarz, jeśli wiernie zdołał przechować na płótnie pamięć tamtych ludzi, i stać się niejako ich myśli i dziejów tłómaczem. Jesteśmy wszakże już przyzwyczajeni do mekchich portretów Grabowskiego, wykonywanych zawsze z wielką siłą realizmu i podobieństwem typowem; ale portret kobiety, wymagający wdzięku i miękkości pędzla, jest niezwykłym zjawiskiem na staludze Grabowskiego. Tembardziej uderzył naszą uwagę na wystawie *Portret pani R.*, przemawiający tak idealnym wyrazem, taką pięknością i delikatnością linii, że zdaje się jakby to była postać niezemińska, napółfantastycznych, wymarzonych światów; a pomimo tego podobieństwo, wiernie zachowane, idylliczny ten obrazek do rzędu portretów zaliczyć każe. Tło, złożone z powabnie splatających się napół tylko wyraźnych kwiatów i arabesków, odpowiada dobrze całości i podnosi wdzień konturów. Słowem podobizna ta była dla nas miłą na wystawie niespodzianką i odkryła nową stronę talentu Grabowskiego, której nie znaleźmy dotąd.

Dyrekcyja Towarzystwa Sztuk Pięknych przeznaczyła w tym roku stosunkowo znaczną kwotę, 1500 guldenów, na zakupienie z wystawy obrazów do rozlosowania. Są między niemi rzeczy bardzo ponętne, prawdziwej wartości, a wybór ten, uczyniony przez dyrekcyję, winienby na przyszłość być zachętą zarówno dla akcyonaryuszów do rozbiierania jaknajwiększej liczby akcyj, jak i dla artystów do przysyłania dzieł swych na wystawę. Oprócz obrazu Axentowicza zakupiono jeszcze trzynaście innych, których wliczenie zajmie, jak sądzę, i artystów i wielu czytelników, nieobojętnie zapatrujących się na to, co się do dziedziny sztuk pięknych odnosi. Zakupiono tedy wdzięczny obrazek Merwarta *Turystkę Strzałeckiego* grupę zatytułowaną: *W starej kaplicy*, Jasińskiego *Rekoniesans*, Kozakiewicza *Brzegi Wisły*, Omajsowej studyum charakterystyczne, *Włoszkę*, Kochanowskiego *Lato*, i Raczyńskiego *Zimę*, akwarellę, piękną mały krajobraz, Grabińskiego *Chatę leśną*, Młodnickiego typ zdjęty z natury: *Stary sługa*, Rybkowskiego *Scenę u studni*, Feintucha studyum typowe *Zyda* i podobnież wizerunek *Żyda Dziańskiego*, naostatek Styki *Głowe Chrystusa*. Porównawszy spis powyższy ze spisami obrazów zakupowanych i rozlosowywanych w latach poprzednich, z przyjemnością dostrzegamy, że zakup tegoroczny przewyższa dawniejsze tak liczbą, jak i wartością obrazów, z czego pocieszający wysnuwa się wniosek, że Towarzystwo Lwowskie Sztuk Pięknych nie upada, jak mu niechętni wrożyli, ale, choć zwolna, rozwija się przeciw, skoro corok coraz większy fundusz na cele sztuki przeznaczać może.

(Dalszy ciąg nastąpi)

## LISTY Z ZAGRANICY

J. I. Kraszewskiego.

Jesień.—Powrót do domu.—Przygotowania na zimę.—Czynne życie po spoczynku.—Wybory do parlamentu—Kongressy i ich owoce.—Sprawy międzynarodowe.—Wystawa dzieł sztuki w Berlinie.—Obrazy Polaków.—Prof. Brandt.—P. Butowtt.—Budyński.—Ang. von Heyden i Poznań przez Niemców założony!—Kowalski Alfr., Marc. Krajewski, Nikutowski, Stryjowski, Wiśniewski, Siemiradzki i obrazy jego.—Życiorvsy francuzkich malarzy i rzeźbiarzy przez J. Claretie.—*Pan Minister* tegoż aut rra

Bélotta *Król Greków*—Tłómaczenia.—H. Malot'a *Sedukcyja*.—Dzisiejsza powieść.—Realizm.—Niemieccy pisarze.

Jesień: — miesiące wypoczynku, oddychania wiejskiem powietrzem, picia wód i kąpeli, wycieczek do Szwajcaryi i na góry, skończone. Wszyscy wracają do domów; letnie mieszkania zamykają się do wiosny; polityka, teatr, zabawy po stolicach, to, co się zowie życiem czynnem, rozpoczyna się nanowo. Od uzdrawiających źródeł, które tak mało kogo uzdrawiają, ciągną jeszcze opóźnieni, ostatni goście, ci może właśnie, którzy ich najwięcej potrzebowali, a czekali aż przyjdą tańsze miesiące.

Ruch czuć wszędzie; nowe pisma peryodyczne wysyłają prospekty i numera próbowe; parlamenta przygotowują programmata, wyborcy zabierają się do głosowania, w teatrach świecą przyobiecane nowości. Zima nadchodzi, a przeżyć ją potrzeba w sztucznej atmosferze salonów i sztucznem tem życiu społecznem, które jest rodzajem komedyi smutnej mimo uśmiechu na ustach.

W Niemczech właśnie, oddawna przysposabiane, wybory do parlamentu wkrótce się odbyć mają. Jak wypadną? wątpimy bardzo, aby kto odgadł, chociaż flegmatyczni Niemcy upewniają, że wiele hałasu o nic — skończy się to lub małą lub żadną odmianą w składzie tych obozów, które o większość walczyć mają. Pomimo żywego interessu, jaki obudza przyszłe ukonystytuowanie się parlamentu, z powodu szczególniej zadań ekonomicznych i opodatkowania — nie widać, nie czuć tej gorączki przedwyborczej, która w innych krajach poprzedza zwykłą ważny czyn — wyboru reprezentantów, interessów, pożądań i potrzeb kraju. Tu i owdzie odezwie się jaki Stöcker lub Richter przed kupką ludzi ciekawych, wieczorem, niemających nic pilnego do roboty — cicho.

Wątpimy bardzo, ażeby do urn wyborczych nacisk był większy niż kiedy, ledwie-byśmy przeciwnie nie sądzili.

Rok ten obfitował w kongressy: elektryczny, geograficzny, geologiczny, lekarski, przyrodniczy, literacki — było ich bardzo wiele, a wątpimy, ażeby, oprócz pożądanego zbliżenia ludzi ku sobie, wielkie z nich owoce otrzymano. Wiek nasz jest przeważnie epoką wystaw i kongressów. Wymiana myśli jest niezmiernie szybką, wzajemne udzielanie sobie wynalazków i systemów, pomysłów i odkryć piorunowo idzie.

Jak dawniej zamykały się w sobie narody i państwa, tak dziś starają się otwierać drogi przypływowi i odpływowi prądów życia. Dążność to widoczna, a, pomimo sprzeczných interessów politycznych — staranie o porozumienie się i dobrą zgodę, o wspólną pracę, góruje nad wszystkim. Chociażby skutek nie mógł być osiągniętym tak szybko, jak się pragnie, zawsze coś na tem zyskamy.

Z wystaw w tej chwili najgodniejszą może wzmianki jest — berlińska. Pomieszczona w bardzo niepozornej budowli tymczasowej, w kącie wcale nie nęcącym, zawiera ona wogóle tysiąc paręset dzieł sztuki, a między temi — choć niektórych współczesnych mistrzów, jak: Krausa, Vautier'a, Menzla braknie — są zasługujące na uwagę płótna i rzeźby. Arcydzieł tu szukać próżno-by może było, ale zbyt lichych produkcj niema także. Pod względem technicznym ogół wcale przyzwolity; dla ducha pokarmu mało. Krajobraz, portret, rodzajowe cacka, mają przewagę, wielkie malarstwo religijne i historyczne słabo lub wcale nie jest reprezentowane. Jeżeli do historii w najściślejszem wyrazu tego znaczeniu zaliczyć potrzeba widoki bitew, na tych w militarnym Berlinie zbywać nie może. Dla nas wystawa berlińska szczególnież tem była pociągającą i ciekawą, żeśmy w niej szukali obrazów naszych malarzy i udziału ich w tej wielkiej paradzie niemieckiej. Otóż, jak zawsze, jeżeli liczba naszych artystów jest tu stosunkowo niewielką, zato prace ich nie czynią nam wstydu; i owszem, wyróżniają się pewnemi wybitnemi zaletami. W sprawozdaniach i krytykach pism niemieckich oddają im należne pochwały. Oto, cośmy tu wyszukać mogli z robot naszych malarzy. Dwa obrazy Brandt'a, wysoko cenionego nad Sprewą: *Napad polskiej jazdy na forpocztę tureckie (XVII w.)* i *Karczma w stepie*,

oba mogą stać naczele i należy im się to, gdyż są z właściwym mu mistrzostwem, swobodą i naturalnością pomyślane i wykonane. Tak ugrupować ludzi, konie, budowle, tak stworzyć obrazek, jakby wcale nie był kompozycją, ale widzeniem natury, umie tylko Brandt. Prawie u każdego z jego współzawodników czuć jakiś wysilek, ustawianie, obmyślanie, sztukę; u niego artysta znika, jest tylko genialny wieszcz, który w jasnowidzeniu odtworza coś, co wysiłł cudownie. Zresztą, choć Brandt często samego siebie przypomina i powtarza, zato jest tak wyłącznie sobą samym i nie do naśladowania, iż jego obrazek nie utonie nigdy w tłumie innych. Panny Butowtt (Andrzejkiewicz) jest tu król *Władystaw Loketek*, uciekający od ściągających go przesładowców; Budyńskiego (Wieden) dwa krajobrazy; i, choć nie Polaka, polskiej treści kompozycją p. Aug. von Heyden, mająca przyozdobić (?) ścianę w gmachu sądowym w Poznaniu: *Książęta Przemysław i Bolesław niemieckim założycielom (sic) miasta Poznania prawo magdeburskie nadający*. Niemówiąc już o śmiesznie zredagowanym temacie, w którym szło o to, aby Poznań był przez Niemców założony (!!!), w obrazie anachronizmów wiele a talentu mało: jest on poprostu urzędowo-trywialnym. Alfreda Kowalskiego, którego też Niemcy lubią, cenią i chwalą — są: *Przejażdżka w lesie i Myśliwi z czasów Ludwika XIV w Fontainebleau*; Marcellego Krajewskiego (Rzym) dwa portrety; A. Nikutowskiego (Düsseldorf), *Modlitwa przed bitwą* (krytyka ją chwali); Wilh. Stryjowskiego (Gdańsk), jak zawsze, *Flisacy*; Oskara Wiśniewskiego, dwie rodzajowe kompozycje. Oto, jeżeli się nie mylimy, wszystko.

Katalog ilustrowany wystawy (na wzór paryżkich) wychodzi już rok drugi. W liczbie ozdabiających go rysunków nie znaleźliśmy żadnego naszych malarzy. Na krótki czas był tu w Dreźnie wystawiony obraz Siemiradzkiego (*Granice władzy*), ale z powodu niezdrovia widzieć go nie mogliśmy. Wiadomość smutna o zatonięciu okrętu, który powracał do Europy z jednym z największych płócien Siemiradzkiego: *Jaskinia zbójców morskich* — szczęściem się nie sprawdziła. Okręt powraca i obraz ma być wkrótce wystawiony w Wiedniu, a później w innych większych miastach europejskich.

Tak zwana „Księgarnia Bibliofilów“ w Paryżu rozpoczęła wydawnictwo biografij malarzy i rzeźbiarzy współczesnych (zmarłych od 1870 do 1880 i żyjących w r. 1881) dwoma zeszytami, które zawierają życiorys Henryka Régnauld i E. Meissonier'a. Oba przyozdobione są pięknymi portretami *aqua forte* i drzeworytami. Autorem tekstu jest p. J. Claretie, którego ostatnia powieść, mająca bardzo wielkie powodzenie, doczekała wprędce dwudziestu kilku wydań. Nosi ona tytuł *Pan Minister* (Monsieur le Ministre). Napisana z wielkim talentem, wyrwana z życia, malująca wybornie obecne stosunki we Francji, ma tylko tę jedną wadę, że w niej, jak w prawie wszystkich romansach francuzkich osi, około której obraca się cały dramat, jest nowy wariant kobiety, która pomiędzy *Panią Bovary* a *Naną* stanąć może. Wprawdzie panna Kaiser jest nieco odmienną od typów już użytych pół- i ćwierćświata, ale należy do niego zepsuciem, egoizmem, zuchwalstwem, tem czemś, co niewiastę godną tego imienia odróżnia od stworzenia rodzaju żeńskiego, a pochodzenia paryżkiego.

Obok tej istoty, obudzającej wstręt, mimo całej jej piękności, nad której zmysłowemi cechami autor się do zbytku rozwodzi, postawił Claretie bardzo naturalnie narysowaną żonę ministra, piękną, czystą i obudzającą współczucie. Sam minister padł ofiarą pokus Paryża i słabego, choć ni by prawego, charakteru. Postaci okalające go: doskonały Lissac, stary dziennikarz Ramel, sekretarz stanu, wszystkie figury wybitne, sprężyny życia paryżkiego, kobiety i mężczyźni, są pochwycony żywcem z tego bruku i dobitnie się na tle smutnego opowiadania rysują. Właśnie dobór działających postaci i wyborna ich charakterystyka stanowią główną powieści zaletę. P. Claretie nie ma może swojej własnej dobrej manieri, jest potrosze naśladowcą mimowolnym Daudet'a, odbija się w nim również, zapewne bezwiednie, wpływ Zoli i jego szkoły; lecz wśród mnogich powieści

francuzkich *Pan minister* zajmuje jedno z najcenniejszych miejsc i stoi daleko wyżej, niż naprzykład *Król Greków* Bélota, który także trochę żywota i typów paryżkich w sobie zawiera.

*Pan Minister* byłby niewątpliwie jeszcze lepszym obrazem, gdyby nie trochę za długie, za szczególne, za naturalistyczne epizody i sceny à la Zola. Nie idzie tak daleko jak on, p. Claretie, lecz w malowaniu szczegółów, drobnostek, do zbytku się lubuje i przeciąga te właśnie sceny kuszania i rozpasania, które, zamiast być powabnymi, niemal obrzydliwymi się stają. Powtarzają się też one do przesytu i mamy ich nadmiarę. *Król Greków* Bélota, o którym wspomnieliśmy, do do żywiołu paryżkiego dobrawszy sobie wschodni, przedstawia nam życie klubów paryżkich i graców. Budowa i wątek, zanadto wyszukane, w wykonaniu są niekiedy naiwne niemal niezgrabstwa, jak w scenach, w których przez pytania i odpowiedzi mieści się cały manual jakiś, wyświecający oszukaństwa kartowe. Życia w tem mało, talent użyty i nieświeży. Nigdy może tyle powieści i powiastek się nie tłómaczyło, ile dziś. Spożywa się ich wiele w odcinkach i dodatkach do pism peryodycznych; czytelnicy jednostajnością są znużeni: w literaturach więc obcych poszukuje się tematów, kolorytu, form nowych. Najmniej tłómaczą Francuzi, najwięcej Niemcy, którzy też i piszą wiele. Oryginalna literatura powieściowa francuzka, z wyjątkiem kilku ludzi talentu, na których czele stoi Alfons Daudet, bogata jest w tomy, ale w rzeczywiste talenta uboga.

Temata powtarzają się ciągle jedne, postaci zawsze te same i jak niegdyś we włoskiej *Comedia del arte*, można by dziś w romansie francuzkim oznaczyć typy nieuchronne, z którymi nigdy się rozminąć nie podobna.

Do nowości należy także powieść H. Malot *Séduction*. Dawniejsza jego, a szczególnie *Bez rodziny* były bardzo udatne i świadczyły o talencie, na którym i ostatniemu opowiadaniu nie zbywa. Rzecz się dzieje na prowincyi, w szkole gminnej, w chwili walki ze szkołkami przez duchowieństwo obsługiwane. Wszystkie środki, jakimi tu walczą ono przeciw szkołom świeckim, nadzwyczaj trafnie i umiejętnie wprowadzone w życie, wszystkie narzędzia doskonale odmalowane, stan umysłowy i moralny ludności skreślony prawdziwie, wiernie; ale sama sedukcyja niewiem dlaczego razi, wydaje się nieprawdopodobną, nie licuje z prostotą całego opowiadania.

Wszystkie te powieści, o których mówiliśmy, z mniejszym lub większym talentem pisane, gdy je przyłożymy do romansów i opowiadań z przed trzydziestu lat, wydadzą się nam postępowo wielkim. Tam królowała fantazyja, rozpościerało się uczucie fałszywe, rachowano na efekta; dziś powoli zesłaliśmy do czerpania treści z żywota rzeczywistego, do zadań społecznych, do obrazów wreszcie stanu naszego społeczeństwa. Powieści te będą, nawet gdy się smak odmieni, pewnego rodzaju dokumentami historycznymi. Taką jest *Historja Rougonów* Zoli, jego *Assommoir*, *Nana*, równie jak *Numa Roumestan*, *Nabob*, *Pan Minister* i *Sedukcyja*.

Z nierównie większą oględnością, powiedziałbym: obawą i delikatnością, pisarze niemieccy czerpią w życiu własnym temata do swych utworów. Osobliwością jest coś w rodzaju Samarowa, zgorzeniem niemal takie pamiętniki, jakie wydał Wellner (Karoliny Bauer). Najśmielsi nie zachodzą nigdy poza pewny kres umówiony, za szranki, w których się kryje ognisko domowe. Realizm niemiecki dotąd prawie nie przekroczył granicy, jaką mu poczucie przyzwoitości zakreśliło; są dlań, i przybytki poszanowania godne, i śmieciiska niewarte analizy. Nie znajdziemy też w literaturze angielskiej tego realizmu chorobliwego, jaskrawego, jakim się odznacza Szkoła Francuzka. Przekładów Zoli zakazano, ale i bez tego, oprócz czytelników w klasach najostateczniejszych społeczeństwa, nie branoby ich nigdzie do rąk w Niemczech. Pod tym względem należy się Niemcom uznanie.

## NOWINY PARYŻKIE.

Paryż, d. 6 Października 1881 r.

Cisza literacka i zamęt polityczny we Francji. — Kilka nowych ilustracji. — Studium nad malarzem z zeszłego wieku *Boucher'em*. — Szósta księga *Bajek Lafontaine'a* przez Delierre'a. — Powieści T. Gautier'a, ilustr. Talmeta i *Jasienka paryżskie*, Dranera. — Nowe powieści: *Książka myśliciela* p. Digue'a. — *Le Plan d'Hélène* p. Racot'a. — *Król Dziewicy* Mendesa i P. *Minister* Claretiego. — Nowy awatar Sacher-Masocha: *przeгляд między narodowy*. — Programmat i przynęta. — Powieści moralne: *Mistrz de Trianc* przez pannę Lachèze. — Piękny cel i znakomite wykonanie zadania. — Kolosalne honorarium za malutką broszurkę Févala. — Chmury nad Rzymem. — Ostatnie przemówienie Ojca Świętego. — Nowa książka p. Bardoux'a i jej związek z zadaniem religijnem Francji. — Rozbiór i konkluzje.

(Dokończenie, ob. Nr 42).

Każda chwila przynosi tu jakiś nowy dowód tej niepewności i tego zamętu, w jakich się znajduje społeczność. Stoimy tu jakby na strasznej placówce ludzkości. Każdy odgłos, każdy ruch, każdy objaw, czujemy i przyjmujemy żywiej i silniej, niż inni ludzie. A jeśli ja sam na jaki przedmiot, na jaką okoliczność, na jaką książkę, kładę wyłączny nacisk i rozpisuję się o nich obszerniej, przyczyny tego szukać należy jedynie w stosunku, w jakim się one znajdują do naszych niespokojnych czasów. I tak, muszę dziś znowu powiedzieć słów kilka o książce, której wartość literacka, chociaż jest wielka, znika prawie wobec tego, co się w niej znajduje jako mianownik, że tak powiem, tych zasad religijnych i społecznych, których autor jest tu przedstawicielem, świadomym rzeczy, celów i dążności.

Kilkanaście dni temu, odpowiadając na adres współczucia, kilkudziesięciu tysięcy osób, zachęcających go do wytrwania i cierpliwości, z powodu rocznicy przyłączenia Rzymu do państwa włoskiego, Ojciec Święty wyraził się z tak głębokim wzruszeniem, iż słowem swym opanował wszystkich obecnych. „*Revolucya posuwając swe dzieło, coraz dalej i dalej — mówił papież w streszczeniu — Mogę być zmuszonym opuścić Rzym, nie dlatego abym szukał ochrony dla mej własnej osoby, ale aby bronić niezależności i godności pontyfikatu*“. Poraz to pierwszy Leon XIII wspominał o swym wyjeździe z Watykanu, jako o rzeczy mogącej się spełnić, w mniej więcej bliższej przyszłości; a jeżeli już papież przemówił solennie w taki sposób, to sądzić należy, że czuje głęboko wszystkie niebezpieczeństwa swego położenia. Nie dowodzi to bynajmniej, aby tak ważna zmiana zająć miała koniecznie, bezzwłocznie; ale jest to ostrzeżenie dane rządowi włoskiemu i wszystkim rządowi katolickim, aby baczenie zważały na te następstwa groźne i straszne, które wywinąć się muszą z agitacyj gwałtownych, poruszających masy społeczne.

Kiedy takie słowa wyszły z ust Ojca Świętego, i kiedy we Francji stanowisko kwestyi religijnej z każdym dniem coraz bardziej osuwa się ze swej legalnej podstawy, ukazała się książka, która, jeśli nie ma bynajmniej na celu podsadzenia nowej miny pod dawne zasady, to przynajmniej tłómaczy doskonale, jakie wpływy wywierają we Francji przekonania religijne na tę pośrednią klasę narodu, najoświecenią bezzaprzeczenia, najumiarkowańszą jak dotąd, którą reprezentuje w Izbie deputowanych Lewy Środek (*Centre gauche*).

Książka, o której tu mowa, jest dziełem byłego ministra oświecenia we Francji, p. A. Bardoux; tytuł jej: *Le Comte de Montlosier et le Gallicanisme*, wskazuje dosyć jasno, dla tych, którzy są oswojeni z temi kwestyami we Francji, w czem sobie autor obrał główny punkt wyjścia. Opowiada on życie człowieka, którego sprzecznosci charakteru i działania były powodem niejednej przykrości dla jego przyjaciół i towarzyszyw pracy na polu polityki w czasach Restauracyi. P. Bardoux maluje życie swego bohatera, od pierwszych lat młodości aż do śmierci, maluje bezstronnie, przebiega epokę po epoce, dyskutując i oceniając bez namiętności, bez uprzedzenia, daje nam go poznać jakim był wistocie, i na pozór jest tylko wiernym

kronikarzem swego przedmiotu. Mówię na pozór bo nie przewodnia, głęboko ukryta wśród nagromadzonych faktów, zmusza przecież czytelnika do wyprowadzenia ztąd wniosków *a priori* wytkniętych przez autora.

Ale, kto był ów hrabia de Montlosier? Najlepiej nam to powie sam autor, który w przedmowie do swego dzieła, taki kreśli wizerunek człowieka:

„Wyobraźcie sobie człowieka wyższego towarzystwa (un homme de qualité), urodzonego na trzydzieści pięć lat przed 89 rokiem, człowieka, który mógł patrzeć z blizką na ten koniec XVIII wieku, kiedy było zwyczajem brać tylko rzeczy przyjemne w najważniejszych, jakie poruszano kwestyj. Montlosier uczestniczył we wszystkich przyjemnościach tego towarzystwa, niezrównanej wykwintności, które, niby myśląc o swem odrodzeniu, stawało się tylko jeszcze wymyślniejszem (*rafinée*); żył w tych wszystkich filozoficznych koteriach, które wkrótce już miały się zagrzebać pod zwaliskami podkopywanego przez siebie gmachu. Zasiadał przy ostatnich wieczernych pani Trudaine, marszałkowej de Beauvais, pani de Necker i t. d.; na koniec znalazł ostatnie salony paryżskie, ostatnie wielkie panie i ostatnich ludzi, co jeszcze umieli przyjemnie rozmawiać.

„Szlachta deleguje tego człowieka do Stanów Generalnych, gdzie występuje jako świadek i współdziałacz w ostatecznym zwaleniu tego, co się nazywa *l'ancien régime*.

„Jest on połączony ściśle z tą częścią Zgromadzenia Narodowego, które pragnęło monarchii konstytucyjnej, z tem stronnictwem ludzi zacnych, których wyobrażenia otwarły wstęp dla Rewolucji, ale którzy nie mieli siły jej dokonać. Protestuje on z całą świetnością wymowy, w imię swoich przekonań, w imię starego francuskiego Kościoła, przeciw cywilnej konstytucji duchowieństwa; emigruje, wystawiwszy się odważnie na największe niebezpieczeństwa, które wzrastały co chwila; zaciąga się do armii Kondusza, ale zniechęcony od swych towarzyszy, którzy mu nie mogą przebaczyć jego upodobania do konstytucji angielskiej i jego przyjaźni dla znakomitego *Malleta du Pan'a*, ucieka do Londynu, znosi z równą odwagą ubóstwo i wygnanie, zakłada dziennik, wraca do Paryża w pierwszych dniach Konsulatu i wchodzi do ministerjum spraw zagranicznych jako korespondent.

„Wtenczas-to rozpatrzył się on uważnie w tej generacji ludzi nowych, którzy się przemocą wdarli na scenę, i których niezgłębioną przepaść dzieliła od niedawnej jeszcze przeszłości; w tej generacji ludzi poręcznych, twardej, bez uśmiechu i przymilenia, pozeranych potrzebą czynów i noszących wyrytą na czole tę troskę straszliwych wypadków i nadludzkich tragedij, które spełniły się w ich oczach.

„Spostrzega on szybko, że tradycje zeszłego wieku, którym dali o siebie schronienie pani Houdetot i p. Suard, są osamotnione i bezdzietne; że ta część arystokracji, która została przy życiu, straciła dawną zdolność i umiejętność, pozbyła się zamiłowania w postępie umysłowym i upada pod jarzmem przesądów. Wówczas-to Montlosier szuka samotności; orze, karczuje i uprawia swe piaszczyste wdmuchy, słuchając zdala armatnich wystrzałów, zapowiadających zwycięstwa; trwoży się wobec niestałości losów wojennych, grożącej ostatecznym niebezpieczeństwem i w notatkach godnych uwagi przepowiada koniec tej świetnej epopei Cesarstwa....

„Spieszmy do Paryża, na odgłos pierwszych klęsk cesarza, znajduje tu swoich dawnych przyjaciół: Châteaubrianda, Benjamin Constanta i Buranta: wpływa do układów, które sprowadziły Pierwszą Restaurację, zajmuje zaraz swoje naturalne miejsce wśród tego towarzystwa, które nigdy nie przestało być jego żywiołem, i w swoich pismach, wobec tej demokracji, która się coraz wyżej podnosi, usiłuje przywrócić polityczny wpływ arystokracji.

„Pochwycony nagle przez wypadki d. 20 Marca (powrót Napoleona z Elby), studjuje, obok Benjamin Constanta, niedzieląc wszakże jego nadziei i złudzeń, pokuszenia prawie liberalne Majowego Pola (Le champ de Mai). Wystawiony na przesładowanie w czasie Drugiej Restauracji, szuka spo-

sobu, w jakiby mógł wrazić politykom owej epoki swoje przekonania i idee społeczne: ale niemożąc otrzymać pożądanego skutku, powraca znowu do swych prac agronomicznych i do zasadzania lasów w swych dobrach.

„Był to czas właśnie, kiedy coraz wzrastający wpływ słynnego Zgromadzenia (Jezuitów), świętność nowych religijnych nauk, obudziły w duszy rodaka Pascala i Arnauda gorące przekonania gallikanizmu, połączone z Jansenistowskim fermentem. Tą razą popierany przez przychylną opinią publiczną, przez trzy lata z górą zajmuje powszechność ideami swemi i przynosi na pole tej walki, tak ważnej, tyleż dobrej wiary, ile i nieugiętej odwagi. Rewolucja Lipcowa daje mu krzesło w Izbie Parów, ale nie osłabia wcale jego zapału do rozpoczętej walki; a jego śmierć nawet jest jakby religijną protestacją przeciw formalizmowi jego przeciwników“.

Ten zarys ogólny, jakby szkic rzucony z góry, jest sam przez się obrazem stronnictwa, które w autorze ma jednego ze znakomitszych swych członków. Chęć pogodzenia z sobą najsprzeczniejszych żywiołów, chęć utrzymania wiary wobec gwałtownych zaprzeczeń rozumu, utrzymania arystokratycznych tradycji i zastosowania ich do demokratycznej samowolności, jako prawa regulującego niesforność jej prądu, chęć ciągłego postępu, ale bez gwałtownego rwania się naprzód: oto jakie były zasady p. Montlosier, i jakie są w gruncie główne punkta programmatu Lewego Środka, starającego się obrac dla siebie stanowisko najdogodniejsze, w tak zwanem *juste milieu*.

Ale kładąc na stronę osobiste dążności i poglądy autora, któremu chodzi głównie o to, aby dzisiejszy spór religijny we Francji rozwiązał się spokojnie i bez żadnego nowego gwałtu, potrzeba przyznać, że wypadki i idee w tem dziele rozwijają się porządnie i z niesłychaną jasnością wykładu. Nie przyjmując nawet wszystkich wyników p. Bardoux, musimy powiedzieć, że zasługują one na wielką uwagę; szczególnie dziś, kiedy jest tu przyjęte, iż namiętności polityczne wymagają koniecznie pewnej przymieszki zlej wiary, jakby lekkiego ubarwienia obrazu. Myli się jednak p. Bardoux, jeżeli myśli, że książka jego, dobrze napisana zapewne, wywrze wpływ upragniony. Ani jedna, ani druga strona konkluzji autora nie przyjmie; usiłowania jego bez rozgłosu zostaną... Dlaczego? Oto, bo się raz jeszcze myli, jeżeli sądzi, że mileżąca postawa duchowieństwa świeckiego we Francji; że to formalne schylenie głowy, to roddanie się pozorne i zostawienie wolnego pola działaniom przeciwnikom—sprowadzi uspokojenie i zgodę.

Niezmienni to wszystko ani na jotę programmatu, który albo się rozbije o taran nieprzewidzianych wypadków, o silny opór opinii publicznej, i upadnie, albo, niewstrzymany, posunie się naprzód, łamiąc i niszcząc wszystko, aż ujrzy spełnienie ostatnich następstw swego założenia. Stronnictwo stawiające ten programmat, czy się opiera czy milczy, zawsze rządzi się jedną zasadą zachowawczą co do wszelkich instytucyj swoich, i wskazując na nie, przeciwnikom swym mówi: *Sit ut sunt, aut non sint*.

Powiedziawszy to wszystko, przyznajemy, że książka jest dobrze napisana. Część anegdotyczna dzieła jest bardzo interesującą. Opowiadanie o stosunkach p. de Montlosiera z Benjaminem Constantem jest równie ciekawe, jak relacja jego zetknięcia się z cesarzem Napoleonem I, i jego nieprzerwanej i pełnej przekonania walki, której ostatnie przełomy poza grób jego nawet sięgają. Wiadome są powszechnie skandale na jego pogrzebie. Dokumenta umieszczone jako objaśnienia na końcu książki dowodzą szczerości i bezstronności poszukiwań autora. Jednym słowem i książka p. Bardoux jest nietylko zajmującą i dobrze opracowaną, ale jest dziełem na czasie, dziełem słusznie zwracającym na siebie uwagę.

## Korespondencya zagraniczna.

Wiedeń, w Październiku 1881 r.

### Kongres literacki międzynarodowy.

Prawo własności literackiej jest przedmiotem 'spornym. — Jąłowść obrad kongressu. — Ludzie i rzeczy. — Francuzi, Niemcy; Kraszewski. — *Concordia* (Festkneipe). — Maennergesangverein. — Kahlenberg. — Semmering. — Salon magnacki u dziennikarza. — Lazarus *Ozadaniu kongressu*. — Mickiewicz *O przesądach*. — Ulbach *O W. Hugo*. — Lermina i Ulbach *O Wiedniu*. — Rittershaus *O kobietach*.

(Dokończenie).

Dla przyjaciela Tytanów było morze najlepszym sąsiedztwem. Na wygnaniu, wobec nieskończoności czuł się on w domu. Jego naturalizm jest artystycznym; można go oskarżać o potworność, gwałt, ale nigdy o pospolitość. Oryginalność jego polega na artystycznym zuchwalstwie. Jest to dziecko wzniosłe, jak go nazwał Châteaubriand. Natura jego nie da się na części rozłożyć. Jak w dziełach, tak w rozmowie jest on świeży, łatwy, pełny uczucia; śmiech jego to piękna muzyka. Gościnnie, ścisła za rękę, od razu poznajesz męża nim jeszcze postrzeżesz wielkiego człowieka. Oko przenikliwe, nos duży, czoło jak kupa panteonu, kościsty cały, jakby rycerz jaki, a ręce jak u pałata. Lubi on ćwiczenia ciała, tak jak pracę — a trzyma się ściślej higieny; zdrowie jest u niego warunkiem talentu. Balzac'owi stała się praca samobójstwem. Wiktor Hugo zawdzięcza pracy pełnię życia, świeżość starości, tę swoją wiosnę nieśmiertelności. Pracuje, stojąc, a biurkiem jego są podnóżki i foliały, niby wieża ułożone, i pokryte dywanem. Opiera się, kładzie papier na Biblii lub na Norymberskiej kronice; papier niebieski, cienki, *in folio*. Kreśli i poprawia bez końca, nieprzepuści jednej niewykończony zgłoski; pisze gęsim piórem, które robi mnóstwo plam (żydów). Rękopisma biorą domownicy, przepisują, zestawiają, porównują; on je przegłąda. Nie zna Hugo improwizacyi, którą słyszał Lamartine; każde słowo, każdy frazes przetrawia. Pisząc *Notre-Dame*, codzień przebiegał kościół wspiął się na wieżę. W r. 1832 napisał: *Rzeczpospolita, którą Francja w Europie ogłosi, będzie koroną naszej siwizny*. O nim, jako o polityku—nie więcej. Wyraził on cały smutek, boleść i odrzę Francji.

W taki sposób mówił obcym Francuz o chwale swego narodu, chociaż to *tylko romantyczna chwala!*

VI. Ratisbonne: *Pogadanka o komedji dziecinnej: Comédie enfantine* — książka ta wyczytana została z ust dzieci, a matki francuskie uczyniły ją popularną. Czar, który dzieci wywierają, jest uniwersalny. Dziecko ma wszechpotęgę; ta myśl tkwi w podaniu o Heraklesie duszącym węże w kolebce (1). Atoli wszechpotęga dzieci ma swoje źródło w miłości rodziców. Temistokles mawiał: „Mały chłopiec rządzi Grecją; ja bowiem czynię wszystko, czego chce jego matka, a jego matka czyni wszystko, czego on chce“.

Któż nie pamięta pożegnania Hektora z Andromachą w *Iliadzie* Homera? Matronka bohatera trojańskiego uśmiecha się wśród łez i podaje mu syna. Wojownik bierze dziecię w ramiona i woła: „Niechaj kiedyś powiedzą o nim, że był mężniejszą od ojca“. Tkliwość rozplywa się często w zabawne złudzenia. Edgar Allan Poë opowiada we wspomnieniach z lat dziecinnych; „Gdy przyszedłem na świat, pierwszym moim znakiem życia było to, że obiema rękami za nos się złapałem. Z tego powodu ojciec mój nazwał mnie zaraz geniuszem, moja matka płakała z radości. Niewszyscy ojcowie są tak czuli: Montaigne mówi: „Lubiłem zawsze dzieci; jedno, czy dwoje, straciłem, i bardzo mnie to dotknęło“. *Jedno, czy dwoje?* snadź się pocieszyl, skoro tego nawet nie wie. Postawmy obok niego pewnego jegomości, którego niebardzo rozczulał dzieciak pieszczony przez matkę. — „Pan nie lubisz dzieci?“ Owszem, bardzo lubię, zwłaszcza takie grzeczne, jak pani

synek; ale wolę przecież niegrzeczne. — „A to dlaczego?“ — „Bo je wtedy wynoszą.“

Dzieci posiadają wszelki możliwy urok. Wiktor Hugo maluje ich czar fizyczny, ich władzę nad dorosłymi; tem usprawiedliwia on nowe wydanie swoich młodych pieśni. Przykłady:

*Wstyd Lizy:* „Lizo, panno Lizo, nie należy się pokazywać będąc w koszulce!“ Liza nie wiedziała tego. Wieczorem rozbierano ją do łóżka. Braciszek jej pokazał się we drzwiach. Liza zmieniła właśnie koszulkę. Jak tylko chłopca zobaczyła, zawołała, cała przerażona: „Poczekaj, jestem w koszulce, nie mogę się pokazać“. Poczem zdjęła koszulkę i zawołała znowu: „Teraz chodź, już można“.

*Wizyta.* „Gra w „damę“ to piękna zabawa: grajmy“. — „Lepiej w wizytę“. — „Dobrze, właśnie zabawa w damę, to znaczy wizyta. Ja więc przychodzę do ciebie, bo ty tu mieszkasz“. — „Dzień dobry drogiej pani“. — „A, dzień dobry, droga przyjaciółko — Jak pani jesteś piękną, zachwycającą!“ — „A pani masz kapelusze cudowny. Pewno z pierwszego magazynu“. — „Ach, mój Boże, gdzie tam! sama go sobie zrobiłam“. — „Toś pani istna czarodziejka (*fee*). No, jakże się pani miewasz“. — „Już lepiej“. — „Jakto lepiej? byłaś chora, kochanko?“ — „Nie, tylko zmęczoną nieco mojem ostatniem malenstwem. Chciałam je karmić. Wiesz pani — gdy się jest matką...“ — „A jakże było z poprzedniem?“ — „O, tamto odkarmił mój mąż“.

Oto, co najlepsze ustępy z tej pogadanki. *Comédie enfantine* wartoby przełożyć na język polski — ale wypadnie przerobić niejedno, — a reflexy opuścić, bo psują tylko wrażenie i wdzięk.

VII. Na zakończenie podajemy głos R i t t e r s h a u s a *O kobietach.*

Wszędzie brzmią inaczej słowa,  
Inne w każdej świata stronie;  
Jedna jest bez dźwięków mowa:  
Ta nam jako słońce płonie,  
Mówi ręką, twarzą, okiem,  
Jest dziwna i tajemnicza,  
Czaruje cichym urokiem,  
Na słowa się nie mierzy,  
A wieść wesołą szerzy.

Na ziemską naszą wędrówkę,  
Gwiazda nam zaranna wschodzi,  
Ma ją dziecko, wznosząc główkę,  
W oku matki, co je rodzi;  
Pierwsza to gwiazda przewodnia,  
Pierwszym łzom gwiazda pociechy,  
Z niej głos bóstwa mówi co dnia:  
„Cyt, przed tobą mgły rozsuwa  
Miłość, co nad tobą czuwa“.

Czas róż: chłopiec i dziewczyna...  
Ileż tam radości, buty!  
Od nich mogłaby ptaszyna  
Uczyć się skrzydlatej nuty,  
Tak wiosennie, żywo, śmiało  
W świat-by im się poleciało!  
Lecz gdy się napełni łono  
Rozkoszą błogosławioną,  
W żadnym śpiewie, w żadnym słowie  
Serca pragnień nie wypowie,  
Tylko już na rajski trunek  
Spłyną usta w pocałunek.  
Kto nie zaznał tej rozmowy,  
Komu obcy uczuć głos,  
Tego smutny i surowy,  
Tego biedny tutaj los.

Idzie, mija, rok po roku,  
Głowę włos pokrywa siwy;  
I kto wtedy przy swym boku  
Ma kobietę, ten szczęśliwy.

Wspólnej doli i niedoli,  
Z nią wspomnienia młode wskrzesza,  
O zachodzie jeszcze słońce,  
Im przyświeca i—pociesza.

A gdy przyjdzie śmierć, to wtedy  
Tęcza jest kobieta-żona,  
Rosą łez zgon opromienia,  
Na jej rękę lżej się kona.

Tak więc twarzą, ręką, okiem,  
Tak więc w każdej świata stronie,  
Z tajemniczym swym urokiem,  
Niema serca mowa płonie.

Niż kobieta jest orężną,  
Bo jest w świecie serca księżną:  
Nieśmyż jej gorące dzięki  
Męzkich piersi, męskiej ręki!

## KRONIKA DZIAŁALNOŚCI KOBIECEJ

Hrabina Stanisławowa Potocka, dobrze zasłużona krajowi założycielka szkoły snycerstwa w dobrach swoich Rymanowie, w Galicyi, oświadczyła się z zaciętą chęcią przyjęcia na czas przyszłych wakacyj letnich kilkunastu niezamożnych chłopców w miejskich, którym potrzeba odetchnąć świeżym wsi powietrzem. W Rymanowie znajdują oni coś więcej jeszcze: znajdują niewątpliwie najlepsze zużytkowanie przepędzanego tam czasu i te wskazówki, wpływy umoralniające, które sprawiają, że szkoła Rymanowska jest pod wielorakim względem dobrodziejstwem swej okolicy. Czytelnicy naszego pisma przypominają sobie zapewne, jak kształcąca się tam w snycerstwie młodzież wiejska zdobywa sobie nie tylko środki materialnego zarobku, ale podnosi się szczęśliwie nad te wady i naloży smutne, w które ciemnota i ubóstwo pograżyły lud okoliczny.

Hrabina Adelaida Ponińska, z domu hrabianka Dohna, siedmiesięcioletnia już wdowa, zmarła w Saksonii w miejscowości Connowitz, zostawiając po sobie wspomnienie szlachetnej i wyższem uczuciem miłości bliźniego przejętej istoty. Słowem i uczynkiem usiłowała polepszyć dolę ubożego ludu i pod pseudonimem „Arminius“ odzywała się często w prasie za tymi wydziedziczonymi, którym ciężka praca całego życia nie jest jeszcze zdolną zapewnić jakiego takiego dobrobytu na starość lub w chwili choroby. Los kobiet służących wzbudzał w niej szczególny interes: założyła w Lipsku przytułek dla sędziwych, zajmowała się kształceniem i opieką nad młodemi. Znacząca się wśród jej pism dziełko: „Die grossen Städte in ihrer Wohnungsnoth und die Grundlage einer durchgreifenden Abhilfe“.

Wystawa robót kobiecych, mająca się otworzyć d. 8 Grudnia we Lwowie przy tamtejszem Muzeum Przemysłowem, okaże nam rzecz niemałego interesu: stan domowego i ludowego przemysłu Galicyi. Wystawa trwać będzie do 15 Stycznia 1881; o warunkach dotyczących się osób, które w niej udział wziąć pragną, pismo nasze doniosło w czasie właściwym.

Na wystawie rolniczej w Retowie przyznano medale srebrne i brązowe ośmiu wystawczyniom. Medale srebrne otrzymały: za trzodę chlewną p. p.: hr. Potocka, Sakiel i Marya Górską z Kieturek; za owoce hr. Choiseul (za winogrona), za tkaniny: pani Lenkiewiczowa za płótno, panna Sakiel za tkaniny, hr. Ostrorog za koronki. Medal brązowy otrzymała pani Turska za płótno i tkaniny.

W przeszłej kronice przy wymienianiu wystawczyń nagrodzonych, opuszczonem zostało nazwisko hr. Maryi Potockiej, która otrzymała medal srebrny za owoce.

Kompozytorka angielska, ciesząca się uznaniem, które przekroczyło już granice jej ojczystego kraju, miss Augusta Holmes, napisała symfonię pod tytułem: „Polska“. Utwór ten ma być

granym tej zimy w Paryżu na jednym z koncertów znanych tam pod nazwą „koncertów Pasdeloup“. Wykonują się tam dzieła wyższej tylko wartości i przybywa je słuchoć publiczność pod względem muzycznym wyższa.

Komitet londyńskiego oddziału Kobiecej Ligi Irlandzkiej zwrócił się do Wiktora Hugo z odezwą, pełną gorących słów patryotycznej boleści, w imię której kobiety Irlandzkie wzywają go, aby upomniał się u ludzkości za ich nieszczęśliwą ojczyznę. On, poeta francuzki, powinien to uczynić; obowiązuje go do tego historia: tradycje francuzkiego narodu, i odezwa kończy się smutnem upomnieniem, czy wyrzutem: — „Niech świat nie powie tej, nigdy niesłychanej dotąd rzeczy, że Francya nie podniosła głosu za uciemiężonymi“.

Irlandzka Liga Kobięce zabroniła Irlandkom małżeństw mieszanych, to jest wychodzenia za Anglików, i kobiety, któreby się dopuściły tego przekroczenia praw, postanowionych przez Irlandzkie uczucie patryotyczne, stawiane są pod groźbą kary, wymierzonej przez władzę narodowe, czyli bojkottuje je. Wyrażenie to „Bojkottować“ powstało ztąd, że pierwszą osobą, która nie chciała usłuchać dobrowolnie powagi Irlandzkiego majestatu narodowego, był jeden z właścicieli ziemskich: Boycott.

Angielska szkoła malarstwa w Rzymie, przy *Via degli Artisti*, rozwija się szczęśliwie i zwiedzająca ją w tym roku literatka francuzka, C. Coignet, podaje o jej naczelniczce miss Mayor bardzo zajmujące szczegóły. Jestto osoba w pewnym już wieku i, choć sama jako malarka nie zajmuje wyższego stanowiska, posiada jednak dostateczne do kierowania szkołą wykształcenie artystyczne, oraz poczucie i zamiłowanie sztuki, która od lat najmłodszych była jej ukochaniem wysokiem. Miss Mayor pochodzi z rodziny średnio-zamożnej, a bardzo licznej i to stanęło jej niegdyś w poprzek kariery artystycznej, której poświęcić się pragnęła. Kształcenie się kobiety w malarstwie było dawniej kosztowniejszem, trudniejszym jeszcze niżeli obecnie, przytem starsza córka niebogatego domu musiała pomagać matce w trudach wychowania młodszego rodzeństwa, w trudach domowego gospodarstwa i wobec tych świętych obowiązków córki i siostry sztuka musiała zejść na plan drugi. Z czasem przecież bracia jej dorosli, rodzice pomierali, i ona mogła już być wolną; ale najmłodszy z braci, dla którego była niegdyś matką drugą, którego uczyła czytać, nie żenił się, a oddany zawodowi naukowemu, potrzebował jej kobiecej opieki: więc zamieszkała przy nim, pilnowała znowu domowego jego ogniska i dopiero po wielu latach, gdy nakoniec dobrał sobie towarzyszkę życia, miss Mayor, powiedziawszy sobie, że może już teraz żyć dla siebie i umiłowań swoich udała się do Rzymu, aby przeciw wkrótce potem wziąć na siebie jarzmo nowych obowiązków, nowego rodzaju poświęcenia. Przez wspomnienie własnej przeszłości sympatyzując gorąco z każdą artystycznie obdarowaną, artystycznemu zawodowi oddającą się, kobietą młodą, miss Mayor znalazła się wkrótce wśród licznej rzeszy takiej, szczególniejszej z Angielek i Amerykanek, które spieszyły do Rzymu, szukając klasycznych wzorów i natchnienia, szukając zarazem tej pierwszej pracy artystycznej, która dałaby im możliwość utrzymania się w Wiecznem Mieście. Nierazko trafiała się między niemi taka *Sama jedna*, jaką nam odmalował Kraszewski, i miss Mayor, widząc trudności, nędze, niebezpieczeństwa, zalegające drogę biednej, walczącej ciężko młodości, pomyślała, czy nie lepiej było, aby zamiast spóźnionego już wdzierania się jej samej do świątyni sztuki, stała się opiekunką innych, które jak ona niegdyś, widzą w tem cel życia najdroższy. Czytelnicy naszego pisma znają warunki, na jakich zdołała ufundować na *Via degli artisti* szkołę malarstwa dla kobiet. Poświęciła temu przedsięwzięciu własne zasoby, pozyskała przytem przez stosunki swe z zamożnymi Anglikami zapomogi, które jej pozwalają, nie tylko utrzymywać szkołę z pensjonatem, możliwie tanio opłacaną, ale między uczennicami znajduje się wiele darmo przyjmowanych, a mających uścić dług swój względem szkoły wtedy dopiero, gdy artystyczna ich

praca przyniesie pozwalający na to zarobek. Miss Mayor przyjmuje też, bez względu na położenie materyjalne, każdą zgłaszającą się do niej młodą, uczciwą osobę, jeżeli tylko dostrzeże choć pewien talent, pozwalający wróżyć powodzenie w obranym zawodzie artystycznym. Dotychczas, jak objaśniła sama podróżniczkę francuzką, zdołała tego dokazać; pragnie przecież drogą składką otrzymać fundusz dostateczny na zakupiowanie dotąd na szkołę domu, co stałoby się wielką ulgą w wydatkach i pozwoliłoby na rozszerzenie szkoły. Miss Mayor przyjmuje do niej osoby wszelkich stanów i narodowości, wymagając tylko od uczennic swoich poddania się przyjętemu regulaminowi, w który wchodzi kontrola nad pozadomowemi stosunkami i czasem, który uczennice poza domem spędzają. Nie jest to przecież rygor surowy i nie przechodzi granic nadzoru, jaki zwykła matka rodziny ma nad dorosłymi już córkami. W domu poza godzinami lekcji uczennice są najzupełniej swobodne i zostawione woli własnej. Ponieważ warunki spędzania tu życia są ogłaszane na samym wstępie każdej z kandydatek; przeto osoby lekkomyślne i pożądaną nieokreśloną swobodą nie szukają tu schronienia.

Kurs szkolny trwa od początków Listopada do końca Maja. Ponieważ pobyt w Rzymie podczas miesięcy letnich jest niezdrowym, te więc z uczennic, które nie oddalają się na wakacje, przenoszą się z czuwającą nad niemi nauczycielką w okolice górskie, zdrowe i malownicze, gdzie mogą dokonywać studyów z natury. Dobór żywych modeli stanowi jedno ze szczególnych i osobistych już zajęć miss Mayor; nietylko dba ona o to, aby zetknięcie ich z uczennicami nie przyniosło tym ostatnim szkody moralnej, ale tkliwa jej dobro rozciąga się i na pierwsze. Wybrawszy z uczennic najinteligentniejsze i dobrze obeznane z językiem włoskim, przyzwawszy do pomocy kilka nauczycielek z miasta, miss Mayor urządziła wieczorną szkołę dla modeli, tak dzieci, jak dorosłych, i trzy razy tygodniowo zbierają się one licznie na Via degli Artisti, ucząc się z wielkim zapałem nietylko czytać i pisać, ale historyi, geografii, nieco nauk przyrodniczych a często i rysunku. — „Nie mogę tego znieść, aby istoty ludzkie były używane i uważane jak proste środki, proste narzędzia do pracy naszej, — powiedziała szlachetna ta kobieta do p. Coignet — związek moralny powinien nas łączyć z niemi.“

Pojmując sztukę w jej prawdziwym i wzniosłym znaczeniu, miss Mayor pragnie również, aby uczennice szkoły były oświeconemi, inteligentnymi osobami i dlatego nauka na *Via degli Artisti* nie ogranicza się wyłącznie do ołówka i pędzla; historia powszechna i historia sztuki, archeologia, geografia, literatura są tam wykładane, z talentów zaś muzyka i taniec, który miss Mayor nazywa sztuką póź wdzięcznych. — Między kobietami poświęcającymi się malarstwu panuje przeważnie niesłychany brak ogólnego wykształcenia, czemu miss Mayor przypisuje, to że mimo wielkiego czasem obdarowania artystycznego tak mała ich liczba wzbija się na wyżyny sztuki wyższej. Wielki też nacisk kładzie na rozszerzenie wiedzy i poglądów uczennic swoich, nawet przez wpływy towarzyskie. — „Zauważyłam — mówiła, również do p. Coignet — że skoro osoby oddające się jakiejś specjalnej sztuce, a nawet gałęzi nauki pewnej, żyją jedynie między sobą, umysł ich zaciera się i oddziaływa źle na rozległość ich pojęć. Rozmaitość zajęć umysłowych, a nawet zajęć artystycznych, podnosi w człowieku uczucia i rozszerza zakres myśli“.

Dyrektorka elementarnej szkoły dziewcząt i ochronki w miasteczku Fano, Angiolina Bianchini, otrzymała od syndyka Rzymu złoty medal i podziękowanie za udział, jaki brała w wystawie edukacyjnej, jako członek jedenastego wydziału sędziów.

W orkiestrze Józefińskiego teatru w Wiedniu grywają od pewnego czasu kobiety, szczególnie obsadzono niemi skrzypce. Są to wszystko osoby, które skończyły konserwatorium muzyczne i zdały tam wymagany egzamin; gra ich odznacza się wielką starannością i dokładnością, cieszą się też przychylnym uznaniem muzycznej publiczności.

W Flötzingen, małym miasteczku Wirtemberskiem, straż ogniowa posiada oddział kobiecy, składający się z 24 osób, roznosicielek wody, których obowiązkiem jest, w razie wybuchnięcia pożaru, stawić się natychmiast z kubelkami swojemi na miejsce niebezpieczeństwa. Podzielone na dwa oddziały, zostające pod dwiema dowódczyniami, strażaczki te pełnią z wielkim zapałem i poświęceniem swoją powinność dostarczania wody gaszącym ogień. Posłuszeństwo ich dowódczyniom i wogóle całe zachowanie się jest wzorowe. Przejęte ważnością swego obywatelskiego urzędu, starają się rekrutować do oddziału swego silne i młode towarzyski, aby działając naprzemiennie, szybciej pełniły zadanie swoje. Dobry przykład pobudza do naśladownictwa, i w przyległych wioskach tworzą się podobne oddziały kobiecej straży ogniowej.

Szkoła kobieca gospodarstwa wiejskiego, a szczególniej młeczarstwa założona w Niemczech, w miejscowości St. Vith 1872 r., a zostająca stale pod przewodnictwem Berty Buschmann, ma w roku obecnym 70 uczennic i 12 korespondentek z różnych stron kraju. Tak praktyczna jak teoretyczna nauka postępowania z nabiałem, udzielana jest uczennicom według metody duńskiej. Cesarzowa niemiecka obdarowała szkołę zapasem naczyni do mleka, a te rozdane zostały 16 uczennicom, których wyrób masła na oznaczonym do tego popisu konkursie okazał się najlepszym. Szkoła ważność zadania swego zasadza na tym uznanym fakcie, że w gospodarstwie narodowym młeczarstwo pojedynczych, drobnych gospodarstw więcej znaczy, niż pochodzące z wielkich, na kosztowną stopę utrzymywanych obór. Niemiecka powaga w tym kierunku: C. Peters, utrzymuje to w dziele swoim: *Gospodarstwo folwarczne*.

W prezydencji Madrańskiej zarząd miejscowy powierzył łobocię, miss Pogton, missyą czynienia obserwacji meteorologicznych na użytek władz rządowych, co gdy w pismach angielskich ogłoszonym zostało, niemieckie odpowiedziały, że zajęcie to spełnia w Niemczech, dla towarzyszy naukowych, wiele kobiet, a mianowicie: w Hadersleben, Halli i Tylży, oraz w Kirchdorfie w Meklenburskiem. Obowiązkiem ich jest notowanie stanu pogody codziennie o godzinie 6 rano, o 2-iej popołudniu i o 10-tej wieczorem. Wymaga to, prócz specjalnych wiadomości jeszcze, niezmiennej dobrej woli i starannej punktualności.

Dulaunay, literat francuzki, wydał w zeszłym miesiącu broszurę, w której dowodzi na zasadzie rozmaitych badań naukowych, że kobieta jest pod względem intelektualnym o wiele niższą od mężczyzny i tylko wyjątkowo umysł kobiecy podnosi się do równości z męzkim. Zatem, pisze on, kobieta jest istotą niższego niż męczyzna rządu, i ci którzy na zasadzie równości płci obu żądają jej równoprawnienia w rozmaitych gałęziach prac i zajęć naukowych, mylą się, bo zawsze tylko pewna, ograniczona liczba kobiet korzystać będzie mogła rzeczywiście z wyższych nabytków w dziedzinie umiejętności i sztuki. Dowodu dla twierdzenia swego szuka pisarz francuzki przeważnie w antropologii i wykazuje, że jeżeli w niektórych niższych formach życia samice są doskonalszemi od samców istotami, już u ptaków i zwierząt ssących jest inaczej. Ptaki rodzaju męskiego obdarzone są świetniejszym upierzeniem i piękniejszym głosem; między zwierzętami zaś samiec jest nietylko silniejszy, ale kształtniejszy, bystrzejszy, odważniejszy, jednym słowem posiada wszystkie szlachetniejszego rodzaju przymioty, w wyższym niż samica stopniu. Tylko drapieżne i wstrętne ptaki nocne, jak: jastrzębie, sępy i nietoperze, ulegają prawom odmiennym i tam samice są silniejsze, większe od samców; ale są też-to w rodzinie ptaków tworzy niższe, nieobdarzone ani pierzem, ani głosem pięknym. Między dowodami fizycznej niższości kobiety Dulaunay mieści ten, że kobieta je mniej, lecz potrzebuje jeść częściej niż mężczyzna. Wszystkie te przymioty, w których kobieta przewyższa męczyznę, pochodzą, jego zdaniem, głównie z instynktu i są dowodem niższości własnej. Kobieta na wyższym stopniu rozwoju intelektualnego traci je w takim stosunku, w jakim nabywa szlachetniejszych ducha przymiotów. Naprzykład: kobiety wyższe przestają być zalo-

tnemi; stają się zato gorętszemi, wytrwalszemi w uczuciach szlachetniejszego rodzaju, jak patryotyzm, poświęcenie się dla dobra ogólnego.

*Times* przedrukował broszurę francuzką w naczelną kolumnie swego pisma z d. 23 Września i wywołał tem ożywioną polemikę w prassie angielskiej. Zapowiadają tam odpowiedź jednego z uczonych angielskich, a *Daily News* pisze tymczasem, że kraj będący szczęśliwą ojczyzną tylu kobiet, które, nie tracąc nic ze swej niewieściej natury, umiały spełniać z poświęceniem i godnością wysokie obowiązki obywatelskie, kraj taki nie może przyjmować i przyswajać sobie poniżającego kobietę wyroku, ferowanego głównie na zasadzie studyów nad materją. Kto może sądzić w ten sposób o człowieku? Cała ta replika na przykład broszury Delaunay'a pisana jest pięknie, szlachetnie i spokojnie. Konkluzje jej o naturze, celach i przeznaczeniu kobiety streścić można w tem zdaniu Żmichowskiej, że obowiązkiem kobiety jest ubiedz w kierunku moralnym i intelektualnym tę samą odległość przestrzeni, co mężczyzna, tylko dążąc drogą inną, odmienną. Jest to różność tylko, nie jednakowość.

## DROBNE LISTKI.

**Wybuch oleju skalnego**, nieznany dotąd, miał niedawno miejsce w Prusach Nadreńskich, w Remscheid. Góra, znajdująca się w tej miejscowości, rozwarła się nagle na sto metrów przeszło i stanęła w ogniu, strzelającym słupami płomieni. Przyczyną tego były niewątpliwie gazy, wydzielające się ze źródła oleju skalnego, płynącego we wnętrzu góry, a które nagromadziwszy się tam nadmiernie, rozerwały jej łono i, zapaliwszy się, wybuchnęły.

**Góra Risikopf**, której osunięcie się na dolinę zasypało gruzami wioskę Elm, objawia jeszcze wciąż groźne poruszenia, czego dowodem jest znaczne powiększenie się głównej rozpadliny, i nieszczęśliwa ludność doliny, tuląca się wśród ruin, otrzymała od władzy kantonowej ostrzeżenie, aby przynajmniej nie nocowała na zagrożonym terytorium. Kommissya szacunkowa oceniła szkody poniesione przez nią na 1,200,000 franków. Składki nadesłane komitetowi w Glarus przyniosły biednym po dzień 15 października 158,600 franków. Sam *Dziennik Genewski* zebrał 53,000 fr.

**Lizbońskie stowarzyszenie geograficzne** wymogło na rządzie portugalskim postanowienie utworzenia w Afryce pewnej liczby „stacyj cywilizacyjnych“. Drużyna każdej takiej stacji składać się będzie z naczelnika, księdza, lekarza i dwunastu mechaników. Jestto nader szczęśliwie i rozumnie pomyślane przedsięwzięcie.

**Afrykański podróżnik** D-r Holub, Czech rodem, pragnąc zrobić nową wycieczkę do Afryki, oznaczył jej koszt na 4,000 funtów sterlingów, która to summa w trzech czwartych częściach pokryta już została drogą składek. D-r Holub złożył od siebie znaczną sumę, 736 funtów, pozyskanych, tak za wydaną przezeń książkę z opisem poprzedniej jego podróży, jak za odczyty, które miewał w różnych wielkich miastach Europy. Trzeba tu nadmienić, że koszt wydawnictwa i odczytów wyniosły mało co więcej nad 36 funtów i czysty plon zysku przyniosł 700 funtów. D-r Holub tak niezmordowanie miewał odczyty swoje w Wiedniu, Paryżu, Londynie, że było go można wziąć za ambicyusza, dobijającego się przebojem rozgłosu, a to była przedewszystkiem praca człowieka, mającego przed sobą cel piękny, którego chciał dopiąć. Była w tem wytrwałość, silna wola i zamięgliwość, cechująca w wysokim stopniu cały naród czeski, który przy pomocy tych enót szacownych dokonywa u siebie to wszystko, o czem słyszymy z uwielbieniem. Dołączyć do nich należy wielką praktyczność, oszczędność i skromność, które są potężnymi dźwigniami każdej pracy Czechów, a które nie opuściły i D-ra Holuba, gdy zważymy, jak w porównaniu do zysków małych są koszt jego naukowych przedsięwzięć.

Cnoty niby drobne, cnoty pokorne i maluczkie, brukują w pochodzie narodów drogę wielkich czynów.

Niemieckie historyczne stowarzyszenia, zebrane na ostatniem swem zgromadzeniu we Frankfurcie, rozbiierały między innymi ciekawą statystyczną kwestyą zaludnienia miast w Wiekach Średnich. D-r Büchner z Monachium, zasiadający w „Sekcyi kultury historycznej“, a zajmujący się od lat wielu wspomnianem zagadnieniem, twierdził, że liczba pełnoletnich kobiet przewyższała wtedy o wiele znacznie niż obecnie liczbę pełnoletnich mężczyzn. Ztąd wyprowadził wniosek, że gwałtowne krzątanie się nowoczesnych ekonomistów w celu wyszukania nowych źródeł pracy dla kobiet z tej jakoby przyczyny, że przerost ludności żeńskiej nad męską zwiększył się w ostatnich czasach, jest nieuzasadnione. Przerost ten jest tylko dziś przy postępie statystyki ujawnionym.

Stacya meteorologiczna ma być założoną w Pawii, z prof. Cantonim na czele. W dodatku do meteorologicznych i magnetycznych spostrzeżeń, prowadzone będą i te jeszcze: jak światło, gorąco i elektryczność działa na rozwój roślin? Doświadczenia uczonych są obecnie zwrócone na ten przedmiot i naukowe czasopismo francuzkie *Les mondes* podaje wynik doświadczeń D-ra Mocagno czynionych z elektrycznością nad krzewem winnym. Prąd elektryczności przeprowadzony zapomocą drutów miedzianych od wierzchołka gałęzi noszącej grono, aż do miejsca, gdzie krzew występował z ziemi, sprawił ten skutek, że gałąź zmęźniała, mając przeciw w swej tkance drzewnej mniej potażu niż inne, owoc zaś dojrzał doskonale i posiadał nadmiar cukru.

Kanał Panama okazuje się coraz wybitniej bardzo trudnym i z wielkimi ofiarami połączonym przedsięwzięciem. Z Nowego Orleanu piszą, że cała linia dla kanału wytknięta ciągnie się wskroś sępów i bagnisk, zamieszkałych jedynie przez aligatory i węże jadowite, co już dowodzi, jak [okolica jest silnie niezdrową. Panuje tu pewien gatunek febrы malarycznej, jeszcze niebezpieczniejszej niż żółta i przecięciowo połowa robotników, obecnie 200 kolorowych i 60 białych, jest zawsze chorą. Roboty też, tak pomiary, jak karczowanie lasów i trzebieenie wijących się roślin, postępują bardzo wolno. Pochłonęły już one tyle ofiar, że bielejące kości ludzkie znaczą drogę ich pochodu. Powtórzy się też niezawodnie fakt, stwierdzony przy budowie kolei żelaznej między Colon a Panama, że każda stopa przestrzemi, przebieganej obecnie przez tę kolej, to jest 11 mil geograficznych, kosztowała jedno życie ludzkie. Znaleźć trupa w lesie, nie jest tu wcale rzadkością, bo dodać trzeba, że pomoc lekarska jest bardzo niedostateczną przy bardzo małej liczbie lekarzy i braku lekarstw; o szpitalach zaś niepomysłano dotąd wcale. Nędzne baraki nie chronią od deszczu i zmian atmosferycznych; pożywienie rozdawane robotnikom nie jest tak posilnem, jakby to w danych warunkach klimatycznych być powinno. Dostają oni trzy razy dziennie ryż; rano i wieczorem kawę, w południe małeńki kawałek solonego mięsa, przyczem niema wcale chleba. Zapłata jest również skąpą. Za dziesięć godzin ciężkiej pracy dziennej wśród podzwrotnikowych upałów dostaje robotnik miesięcznie 16 dollarów, z czego jeszcze odtrącają mu dnie deszczowe, których bywa tu wielka liczba. Kompania czyni też ogromne wysilenia, aby przeciąć robotnikom drogę odwrotu. Przybyć tu jest bardzo łatwo i przybywa też wciąż za robotą mnóstwo ludzi ze wszystkich stron świata, ale jak z Piekieł Dantejskich nie wraca się już ztąd prawie nigdy. Za 11 mil geogr. kolejają żądają od biednego wracającego robotnika sum ogromnych: a przecież nie braknie nigdy pragnących

tego powrotu, i kto tylko zdoła zebrać sobie tyle, aby drogę opłacić, zabiera się jaknajśpieszniej i ucieka do Panama lub Colon, gdzie może już kupić sobie konia i wyjechać do Costa-Rica lub Meksyku. Tam klimat już o wiele zdrowszy, choć zarobek jeszcze nędzniejszy.

Najsilniejsze światło elektryczne wyprodukowano podobno w Ameryce, w mieście Cleveland (Ohio), w zakładzie *British Work*. Ma ono być pięćdziesiąt razy silniejszym od światła zwykłych latarni elektrycznych, jakimi oświetlają obecnie porty amerykańskie, i tak silnem, że przy pomocy zwykłego reflektora można czytać przy niem na piętnaście mil angielskich odległości. Każda sztuka węgla palącego się według tego systemu ma mieć sześć centymetrów obwodu, a ilość wydanego przez nią ciepła dojsć miała półmilionu stopnia, czyli dziewiętej części ciepła słonecznego. Dla wytworzenia tego światła potrzebowano siły czterdziestu koni; miało ono być obstalowanem przez marynarkę angielską na użytek poszukiwań torpil i dla posługiwania się niem przy nocnych walkach morskich. Szkoda tylko, że wszystko to brzmi jak ustęp z powieści Juliusza Verne'a, jakkolwiek pisma francuzkie powtórzyły sensacyjną wiadomość za amerykańskim dziennikiem *Cleveland Leader*.

Angielskie jezioro Kew przedstawiało zeszej zimy zjawisko ciekawe dla badaczy przyrody. Pokryło się ono lodem w całości, lecz środkiem tylko lód ów był gruby, po brzegach zaś nie można było wstąpić nań bez niebezpieczeństwa i spostrzeżono, że wychodzi tamtędy gaz, który zapalony, spowodował silne oparzenie osoby, chcące czynić z nim doświadczenia. Angielskie czasopismo *The Nature* podało opis wypadku. Gdy wkrótce po ścięciu się wód jeziora zauważano wydzielanie się po jego brzegach gazu, ktoś ciekawy przebił lód i przysunawszy do tej przerębli zapaloną zapalną, spowodował tak silne zajęcie się gazu ogniem, że sobie twarz i ręce mocno oparzył. Po pewnym czasie gaz stracił wiele na swej zapalności, i można było bez niebezpieczeństwa powtarzać wspomniane wyżej doświadczenie. Gaz zapalony wydawał tylko lekki płomień.

Fatalność nieprześlągana czepia się rodów pewnych, i oto znowu bolesnej sławy rodzina Calasów występuje po upływie wieku na scenę świata w tragedyi, której węzeł zadzierzgnięty został przez dziki fanatyzm. Siedmnaście lat temu, niejaki Férol, kalwin, zaślubił Maryą Calas, katoliczkę pochodzącą jednak z historycznej rodziny Calasów i małżeństwo cieszyło się pożyciem zgodnem i szczęśliwem, aż do urodzenia się dziecka, córki, którą matka chciała ochrzcić w swoim wyznaniu, czemu ojciec stawiał tak zacięty opór, że przyszło do zerwania łączących ich węzłów, do rozdziału, wyrzeczonego sądownie, przyczem przyznano matce prawo do dziecka i przysługującą jej wolność wychowywania córki w religii swojej. Lecz ojciec wykrada dziecko, matka występuje ze skargą przed sądy, które znów nakazują zacieklemu człowiekowi wydanie biednej istoty, ale ten apeluje od wyroku i w trakcie sprawy umiera. Przecież nawet śmierć jego nie wraca matce córki, bo już została potajemnie wywiezioną z kraju i ukrytą u krewnych ojca, w Szwajcaryi. Matka jednak walczy jeszcze; wytacza przywłaszczycielom dziecka proces, wygrywa go znowu, ale znowu bezowocnie, bo zła wola i intryga fanatyków nie dopuszcza jej do niego, a nie istnieje między Francją a Szwajcaryą żadna konwencya, na mocy której władze francuzkie zażądać-by mogły od władz szwajcarskich przymusowego wydania dziewczynki. Więc nieszczęśliwa kobieta, niewiedząca nawet nic o córce, ukrytej pod innym nazwiskiem, dostaje pomie-

szania zmysłów i umiera nakoniec. Lecz ojciec jej występuje teraz z prawami dziada do wnuczki; chcąc działać skuteczniej, wprowadza rzecz na drogę kryminalną i wniósł już przed sąd w Tuluzie skargę o porwanie i zbrodnicze zatajenie dziecka. Porwana ma już obecnie lat piętnaście.

Krwawy dramat rozegrał się we Francyi, w poważnym i cichym przybytku nauki, gdzie zdawać-by się mogło, że wybuch wzburzonych namiętności przystępu mieć nie może. W Aix, w sali jadalnej liceum tamtejszego, po obiedzie spożytym spokojnie najpierw przez uczniów, a potem przez nauczycieli, rozległ się nagle wystrzał rewolwery, i jeden z nauczycieli młodszych, Jassaud, padł pod strzałem otrzymanym w samą twarz, a gdy zdołał jeszcze porwać się z ziemi, kilka ponownych strzałów powaliło go trupem. Strzelającym był jego kolega, Guidevaux, który po dokonaniu zbrodni nie uciekał bynajmniej: oddał się spokojnie w ręce sprawiedliwości, a stawiony następnie przed sąd przysięgłych, wyznał z równym spokojem zbrodnię, której nie żałował wcale i uważał ją tylko jako okrutne nieszczęście, pod którym uleż teraz musi, opłacając je życiem. Guidevaux jest, podobnie jak był Jassaud, młodzieńcem jeszcze, lecz żadne współzawodnictwo, żadne ubieganie się o rzecz drogą jednemu i drugiemu, nie zasiało nienawiści między nimi. Tylko Guidevaux był małym, brzydkim i niezgrabnym człowieczkiem, w dodatku, a raczej w następstwie tego, charakter jego był posepny i zgryźliwy; Jassaud zaś przystojny i dowcipny, obrał sobie biedaka za cel śmieszeków i żartów nielitośnych, które, czyniąc nieboraka śmiesznym w oczach uczniów i kolegów, doprowadziły go do namiętnego rozdrażnienia. Pod wpływem tego uczucia wyzwał dowcipnisią na pojedynek, ale ten ruszył tylko ramionami i odpowiedział nową zniewagą, bo szyderstwem, i wtedy głucha nienawiść zawrzała w piersi przesładowanego. Zabił swego przesładowcę, zdecydowany sam na śmierć z ręki kata, a sąd przysięgłych uznał go niewinnym.

Jest on niemniej winnym, winnym bardzo; przecież ten zabity, który w kwiecie wieku młodzieńczego padł pod morderczą kulą, był niewątpliwie winniejszym o wiele, znęcając się okrutnie nad upośledzonym od losu towarzyszem. Guidevaux w czasie publicznego przesłuchywania go przed sądem, przyznał się do rozmysłu, przez kilka dni w sobie noszonego; przyznał, że z zamiarem strzelił prosto w twarz, którą kula rozerwała okrutnie. — Mierzyłem w samą twarz obrzydłą — mówił — była to przecież twarz, jeżeli nie piękna w wyższym stopniu piękności, nie wyszlachetniona wyrazem dobroci podniosłego ducha, to przynajmniej w pospolitem znaczeniu tego słowa ładna, świeża, wesoła twarz młodzieńca. Jassaud starał się właśnie o miłość pięknej panny, córki jednego z wyższych profesorów Lyceum, i dramat to zupełny, któremu nie braknie nawet gorzkich łez kobiety.

W królewskim archiwum madryckim znaleziono doskonale zachowany portret olejny Kolumba. Jest on małego formatu i przedstawia odkrywcę Ameryki w wieku około lat czterdziestu. Czarne włosy są bardzo obfite, oczy żywe, nos orli. Wszystko przemawia za przypuszczeniem, że jest malowanym z natury; nosi napis: „Columbus, Lygur, novi orbis repertor“.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się początek powieści pod tytułem: **Marek**; oraz dalszy ciąg powieści pod tyt.: **Warto się namyśleć**.

Ogłoszenia do **BLUSZCZU** przyjmuje wyłącznie kantor agenturowy **BERNARDA BERSOHN** w Warszawie przy ulicy Nowy-Świat Nr 67.

**TREŚĆ.** Łuna na widnokręgu, (poezya), przekład z Wiktora Hugo. — Ostatni list, (dalszy ciąg), przez A. Ch..... — Korrespondencya zagraniczna, (Lwów). — Listy z zagranicy, J. I. Kraszewskiego. — Nowiny paryżkie, (dokończenie). — Korrespondencya zagraniczna, (dokończenie), Wiedeń. — Kronika działalności kobiecej. — Drobne listki.

Warszawa. — Druk S. Orgelbranda Synów, ulica Bednarska Nr 20.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Дозволено Цензурою.

Варшава, 21 Ноябрь 1881 года.